

Pasje lingwistów – To tamten cham

22 grudnia 2015

Do napisania tego eseju skłonił mnie błąd tłumaczeniowy w materiale „Nowego Ekranu” pt. „Londyn w deszczu spisków”. Było to wywiad ze starszym mieszkańcem londyńskiej dzielnicy Tottenham, gdzie zaczęły się ostatnie zamieszki i wyładowania społeczne, jakie szybko rozlały się na inne dzielnice i miasta Zjednoczonego Królestwa. Kilka razy w tekście człowiek ten był przedstawiony jako „czarnoskóry Zachodni Hindus”, mimo że miał angielskie imię i nazwisko Darcus Howe i był murzynem z Antyli rodem. Nie zareagowałem komentarzem, bo kulturalnie i rzeczowo zrobili to inni, ale pomyślałem sobie, że temat można bardziej rozwinąć „ku pospolitej potrzebie” a przy okazji wykorzystać go jako pretekst, aby pofolgować moim lingwistyczno-etymologicznym zainteresowaniom.

Znam dzielnicę Tottenham i pamiętam West Indian Club na wjeździe od strony Hackney i Hoxton, gdzie mieszkałem. Była to typowa murzyńska mordownia, bo West Indians to po angielsku murzyni z byłych kolonii w Indiach Zachodnich, czyli Karaibów. Określenia „Indie Zachodnie” w odniesieniu do Antyli używano dawniej w wielu językach, także w polskim, bo przecież i Kolumb umarł w przeświadczeniu, że dotarł do Cipangu (Chin, Japonii) i do Indii, tyle że płynąc na zachód. Stąd zresztą do dziś rdzennych mieszkańców Ameryki nazywa się Indianami. Ponieważ po angielsku Indians to zarówno Indianie jak i Hindusi, w Ameryce na tych swoich częściej używa się określeń „native Americans” lub nawet American Indians, Amerinds, first nations etc.

W dzielnicy Tottenham prawie wszystko jest West Indian i czarne. Większość mieszkańców pochodzi z rejonu Karaibów, głównie z Jamajki, Trinidadu i Barbados. O bardzo ciekawym pochodzeniu nazw wysp, krajów i miast czyli o toponimach,

przyjdzie zapewne kiedyś napisać obszerniej i to nie raz, ale tu tylko zauważę, że nazwa Antyle pochodzi z języka Portugalii, gdzie na długo przed odkryciem Ameryki na starych mapach zaznaczano hipotetyczne „ante-ilhas” czyli „wyspy leżące naprzeciw” tj. po drugiej stronie oceanu, skąd od niepamiętnych czasów prądy morskie przynosiły czasem dziwne fragmenty roślin lub inne przedmioty. Wiadomo było zatem, że muszą istnieć zanim je odkryto. Słowo Karaiby (ang. Caribbean, hiszp. Caribes) pochodzi natomiast od nazwy Indian Karaibów (Carib), którzy dawniej Antyle zamieszkiwali, ale szybko ulegli eksterminacji, głównie wskutek przywleczonych tam chorób.

Trzeba przyznać, że nazwa West Indians może być myląca, tym bardziej, że w Londynie Hindusów (i Pakistańczyków) jest więcej niż Murzynów. Ale tu czyha na nas jeszcze większa pułapka. Spora część Hindusów jest tam określana jako East Africans, co mogłoby sugerować raczej murzynów ze wschodniej Afryki. W pobliżu King's Cross znałem nawet hinduską restaurację serwującą tandoorijako East African cuisine. Skąd takie pomieszanie geograficznych i etnicznych pojęć? Odpowiedzi też trzeba poszukać w niedawnej historii brytyjskiego imperium kolonialnego. Ważną zasadą rządzenia w koloniach była tzw. indirect rule. Polegała ona na piramidce, ktorej wierzchołkiem byli biali Anglicy, na dnie miejscowa ludność wiejska, np. murzyńska, a w środku warstwa też zazwyczaj kolorowa, ale o wyższym statusie, często napływowa lub celowo nasiedlana, pełniąca rolę pośredników. W Afryce wschodniej taką warstwą pośrednią byli Hindusi, zwykle z kupieckiej kasty Marvari, którzy zmonopolizowali cały handel i usługi i mieli cichy placet Brytyjczyków na łupienie murzynów. „Nienawiść ludu rzadko dosięga cara, bo po drodze ma jego czynowników” mówiło stare rosyjskie przysłowie. Taka właśnie była tam rola Hindusów. W takim układzie biały massa był zawsze dobrym sędzią, który rozsądzał spory, łajał chciwego Hindusa i łagodził murzyńską dołę.

Kiedy skończył się kolonializm i piramidka upadła, znienawidzonym Hindusom w Afryce Wschodniej popędzono kota. Najostrzej dobrał się do nich legendarny Idi Amin, krwawy dyktator Ugandy w latach 1971-1978. Uciekając przed pogromami Hindusi, którzy mieli paszporty Wspólnoty Brytyjskiej nie wrócili jednak do Indii. Jako zamieszkali od pokoleń we wschodniej Afryce i tam urodzeni, pojawili się masowo w Anglii właśnie jako East Africans. Przysługiwało im nie tylko prawo powrotu, ale też prawo łączenia rodzin, a więc sprowadzenie krewnych także z Indii. Pojawiły się ich od razu dziesiątki tysięcy. Szybko opanowali cały handel w Londynie a potem wyparli białych sklepikarzy również z innych miast. Dziś większość sklepów w Anglii, także na prowincji należy do Hindusów.

Tajemnicą ich kupieckiego sukcesu jest patriarchalny ustrój rodzinny tej kasty, o którym warto tu wspomnieć. Jego naczelną zasadą brzmi: „Dopóki żyje ojciec, synowie nie rozchodzą się, oddają mu wszystkie zarobki i są mu we wszystkim posłuszni”. Małżeństwa zawierane są wcześnie, a ich celem są liczne dzieci. Jeśli ojciec ma 80 lat to może mieć kilku synów z pokolenia 60-latków, kilkunastu wnuków po około 40 lat i kilkudziesięciu prawnuków po 20 lat. Zarządza więc potężną kadrą i trzyma dużą kasę. Taka rodzina może szybko dokonać dużych inwestycji, kupować sklep po sklepie, i nie ma kłopotów z obsadzeniem załogi. Hindusi wygrali z białymi kupcami przez to, że ich sklepy są otwarte przez całą dobę i wszystkie dni w roku. Zakaz handlu w niedzielę ominęli tak, że w sklepach z komputerami lub odzieżą trzymają np. wiązkę bananów, a póki się świeżyzny nie sprzeda, sklep może być otwarty. Kasta jest bardzo zwarta, wyłącznie samowżenna, samorządna i udziela sobie pożyczek na telefon. Żadnych wewnętrznych sporów nie zanoszą przed obce sądy, wszystkie rozsądzają sami między sobą. Do kasty Marvari należy np. rodzina Mittal mająca huty w Polsce. Nikt z nimi jeszcze nie wygrał.

Mylącym jest też określenie Asians (Azjaci), które po

angielsku najczęściej oznacza przedstawicieli rasy żółtej, a więc raczej nie Hindusów, a już na pewno nie Arabów, Persów lub Turków, chociaż właśnie z terenu dzisiejszej Turcji słowo Azja bierze swój początek (Azja Mniejsza). Gdyby jednak w Ameryce zapytać skąd pochodzą owi żółci i skośnoocy Azjaci, których jest tam pełno, odpowiedź brzmiałaby zaskakująco: z Pacyfiku, bo tak się tam najczęściej określa Azję Wschodnią.

Gdyby przyszło nam w Ameryce wypełniać jakiś formularz, np. medyczny, gdzie dociekają jakiej jesteśmy rasy, to trzeba wpisać albo zakreślić Caucasian (z Kaukazu), choć nikt z nas nie jest Ormiaszką ani Gruzinem. W Ameryce tak właśnie określa się rasę białą w wersji, do której należymy i my, Polacy, obok np. Niemców, Francuzów, Anglików, Skandynawów, Żydów albo Hiszpanów, ale już nie Latynosów, których określa się tam jako Hispanics, bo mówią po hiszpańsku. Przeważnie pochodzą z Meksyku, Kuby lub Puerto Rico.

Ta niesłychana gmatwanina nazw i pojęć przypomina starą anegdotkę o jagodach. „Mamo, co to są za jagody?” „To są, synku, czarne jagody” „Czarne? To dlaczego są czerwone?” „Aaa, bo są jeszcze zielone” „No to kiedy będą czarne?” „Kiedy się staną zupełnie niebieskie”.

Anglicy komplikują też etnonimy w swoim najbliższym sąsiedztwie. Celtyckich Cymbrów nazwali Walijczykami, a Gaelów – Szkotami. Holendrzy-Flamandowie, którzy mówią odmianą dolnoniemieckiego (niderlandzkiego, bo przecież Nider-landy to Dolne Ziemie) są po angielsku określane jako Dutch, chociaż, jak wiadomo, słowem tym w wersji Deutsch dziś określają się wszyscy, także górni Niemcy, ale raczej bez Holendrów.

Niemcy nie mają zresztą szczęścia do jednolitej nazwy i każdy z sąsiadów określa ich po swojemu, zależnie od tego, z którym plemieniem germańskim stykał się po swojej stronie. Dla Anglików są to ogólnie Germanie. W niektórych językach romańskich (francuski, hiszpański, portugalski) Niemcy to Alemani. Dla Włochów są to Teutoni (tedeschi). Dla Duńczyków

każdy Niemiec jest Tuskiem (tysk). U nas też mamy jednego. Reszta z nich to dla nas Szwaby, bo ze Szwabii osiedlali się u nas najchętniej, choć po niemiecku Schwaben to tylko niewielka część z nich. Bodaj najlepiej określają ich jednak wszystkie języki Słowian, gdzie są to po prostu „ci, co nie po naszymu gadają” (nie-mówcy, Nie-mcy). Węgrzy też od nas to wzięli, choć pewnie nie wiedzą co Nemeth miało pierwotnie oznaczać.

Ale i nas, Polaków, określa się różnie. Lach lub Lechistan, jak nas wołają na turko-perskim Wschodzie, a przezywają na Ukrainie, można by im jeszcze darować, bo to od Lecha (Wałęsa, Kaczyński, te rzeczy...). Ale dlaczego po węgiersku Polak to Lengyel, choć to podobno naród nam przyjazny? Ładnie to tak na bratanka gębę wykrzywiać, nie wiadomo czy nie lżąc przypadkiem? Odpowiedź jest podobna jak dla Niemców: nazwa zależy od tego, z którym plemieniem się stykano. W Wielkopolsce mieszkali Polanie, i stąd poszła nazwa na nas wszystkich, ale w Małopolsce byli Lędzianie. Węgrzy stykali się raczej tylko z tymi drugimi i stąd dla nich do dziś wszystko, co za Karpatami na północ to Lengyel.

Samych Węgrów też różnie w Europie wołają. Od Hunów im wymyślają, Ungarami i Wengrami przezywają, a prawda jest taka, że są to po prostu Madziarzy, pierwotnie niby lud koczowniczy jako Mongołowie i do stepu pustego (puszta) lgnący, ale przecież z północnego, uralskiego, a więc lesistego matecznika na Górnym Powołżu się wywodzący, co i mowa ich zdradza, i słownictwo, a i krewni z dalekiej Północy to potwierdzają: Finowie, Mordwini, Czuwasze, Udmurci, Maryjcy i ilu ich tam jeszcze się po tych bagnach kręci.

Przybysze tacy często przynoszą swoje nazwy nawet z daleka. Ot, tacy Bułgarzy, którzy przybyli na Bałkany znad Wołgi pod wodzą chana, bodaj Asparucha. Byli wtedy koczowniczym ludem tureckim i są znani historykom jako Protobułgarzy lub Turcy nadwołżańscy, czego dziś każdy Bułgar chętnie by się wyparł. Turcy? A fuj! Pod naporem Awarów, a potem Chazarów (Turków zjudaizowanych) przesuwali się po ukraińskim stepie na zachód

aż założyli Bułgarię naddunajską. Osiadłe życie wśród rolniczych Słowian i masowe branie kobiet słowiańskich za żony (a więc na matki, od których dzieci uczą się pierwszego języka) szybko zamieniło ich w Słowian, a przyjęcie chrześcijaństwa z rąk Cyryla i Metodego wraz z alfabetem pogreckim (cyrylicą) ostatecznie ten proces przypieczętowało. I właśnie tenże alfabet ustalił im nazwę: Boulgari, bo znad Wołgi. Każdy kto pamięta rosyjski (a może jeszcze grecki, hę?) ten wie, że litery B i W pisze się tam w sposób wzajemnie mylący i łatwy do podmienienia. W języku greckim nawet wymawia się je tak samo, co zresztą jest w fonetyce zjawiskiem dość częstym (np. hiszpański, hebrajski). Stąd mamy np. po rosyjsku takie zmiany imion jak Wasyl/Basilios, Awwakum/Abbakum, Weronika/Berenike, Wissarion/Besarion, etc. Stąd po hiszpańsku pierwszy fonem w wyrazach np. Barcelona i Valencia brzmi jednakowo. Stąd hebrajskie ivrith, Avraham, Rehovoth, merkava, itp.

Na północ od Bułgarów, na lewym brzegu Dunaju, od Wołoszy po Mołdowę, osiedlili się już wcześniej weterani rzymskich legionów pilnujący północno-wschodniej rubieży cesarstwa. Do dziś zachowali zepsutą mowę połacińską i zachodnie pismo łacińskie (mimo przyjęcia prawosławia), a także dumną nazwę Rzymian, bo przecież obywatelami Rzymu kiedyś byli. Stąd ich samookreślenie – Romani (Rumuni), choć przez Słowian byli dawniej nazywani raczej Wołochami. I tu mamy sekret, który zapewne męczy niejednego Polaka: dlaczego Italia to po naszymu Włochy, a nie tak, jak nazywają ich wszyscy (no, prawie wszyscy, boć przecie Węgrzy też powtórzyli za nami tę nazwę, choć ją po swojemu zniekształcili – Ołasz, Ołaszorszag). Otóż nazwa powstała i przyjęła się późno, kiedy do Polski przybyła większa świta królowej Bony z Italii. Słyszając ich jak mówią swoją pięknie zepsutą i też połacińską mową, nasza szlachta, która znała już Wołochów, bo gospodar wołoski jako lennik polskiego króla wystawiał nam na wojny oddziały pomocnicze, uznała że jest to taki sam język jak rumuński i gości ochrzciła Wołochami. W rezultacie patrząc dziś na mapę mamy

jakby przenicowanie mózgu: w Rzymie mieszkają Wołosi (Włosi), a na Wołoszy – Rzymianie (Rumuni). Jak to można ludziom w głowach namieszać!

Ciekawa jest też etymologia słowa murzyn. Przyjęło się je pisać w języku polskim z małej litery, bo dziś jest określeniem antropologicznym tak jak mulat lub metys, ale pierwotnie Murzyn było nazwą jakby narodu. Jest to pochodna słowa Maur, które zgodnie z konwencją dawnej polszczyzny urabiano na końcówce tak jak inne etnonimy: Węgrzyn, Turczyn, Rusin, Serbin, Litwin, Greczyn, Tatarzyn, Żydowin itp. Z Maurzyna łatwo zrobił się Murzyn, ludowi znany jako ten najbardziej egzotyczny z trzech królów jasełkowej szopki. Była w tym pewna racja. Prawdziwi Maurowie to wprawdzie ludzie biali jak typowi Berberowie, ale w wojskach sułtanów Maroka zawsze służyli też czarni, a słynny sułtan-satrapa Mulaj Idris, który założył osobną stolicę w Meknesie, opierał się wręcz na czarnej gwardii, czyli na Maurzynach.

W samej Afryce bardzo silnie rozróżnia się przedstawicieli rasy czarnej od ras uchodzących za lepsze, bez względu na rzeczywisty kolor skóry. Najpowszechniej rozróżnia się Semitów, czyli białych potomków Sema, od Chamitów, czyli potomków Chama, za których uważa się wszystkich rasy czarnej. W sensie ściślejszym jest to jednak rozróżnienie lingwistyczne i do Semitów zalicza się mówiących językami semickimi (dzis arabski, amhara, tigrinia, hebrajski, dawniej także aramejski, fenicki, chaldejski, itp.), a do Chamitów mówiących językami grupy kuszyckiej (np. somalijski) lub berberyjskiej, a dawniej np. językiem staroegipskim (dziś koptyjskim) lub meroickim. Sem, Cham i Jafet to byli trzej synowie Noego, którzy według Biblii byli przodkami trzech ras ludzkich. Jafet miał być przodkiem ras północnych i w starej lingwistyce wyróżniało się nawet grupę języków jafetyckich, do których zaliczano gruziński, abchaski, awarski, czeczeński i inne języki północnego Kaukazu. Stąd właśnie wywodzi się wspomniane skojarzenie rasy białej z Kaukazem, obecne w amerykańskim

określeniu „Caucasians” czyli biali. Biblijne skojarzenie murzynów z Chamem, wyklętym przez Noego za to, że szydził z niego, gdy Noe był pijany, służyło natomiast Burom potocznie do uzasadnienia apartheidu w RPA.

Miało być krótko i na temat, a zrobiło się długo i o wszystkim. Tylko mi pozwolić na snucie dygresji, a temat ugotowany. Kończę, bo inaczej rozniesie się to do Afryki i Azji, a tam dopiero jest o czym pisać! Etnonimy, czyli nazwy narodów i społeczności to fascynujący i wielki temat, który zapewne nieraz poruszę jeszcze przy innych okazjach. A na dziś zakończę konkluzją w sprawie, od której zacząłem, czyli od starego „czarnego Zachodniego Hindusa” z Tottenham, i jego syna, o którym brytyjska dziennikarka przeprowadzała wywiad. Ten Hindus okazał się Maurem, pardon, murzynem, czyli potomkiem biblijnego Chama z Tottenham. Powiem krótko: to nie ten cham. To tamten Cham.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: NEon24.pl